

Ostatni zwycięski turniej

Wspomnienie o Andrzeju Wilkoszu

Blisko rok po śmierci, to chyba właściwy czas, aby opisać krótką historię mojej znajomości ze śp. P. Andrzejem Wilkoszem.....

Pana Andrzeja poznałem w latach osiemdziesiątych. Jako bajtel chodziłem czasami na cykliczne turnieje do Auli AGH lub większe turnieje okolicznościowe. P. Andrzej już wtedy był legendą i każda potyczka z nim miała swój smaczek. Rozdania analizowało się w gronie studentów, którzy u mnie wynajmowali stancje, jak również z tymi z którymi zdzierałem dwie talie piatnika w miesiąc. W tamtym czasie poznałem również Mirka Kołtona, za sprawą którego trzydzieści lat później zagrałem swój pierwszy turniej z P. Andrzejem....

Stało się to w maju 2012r. Grałem wtedy w Trzeciej Lidze Małopolskiej, nie byłem rutynowanym zawodnikiem miałem świadomość przepaści brydżowej jaka nas dzieli. W przeddzień turnieju przyjechałem do P. Andrzeja ustalić system, wtedy pierwszy raz rozmawiałem z nim prywatnie. Zaskoczyło mnie w zasadzie wszystko: poczucie humoru, błyskotliwość, doskonała pamięć, brak jakiegokolwiek dystansu w rozmowach o systemie i technikach jakie będziemy stosować, miałem wrażenie, że rozmawiam z kolegą z drużyny a nie arcymistrzem światowym. Wszystko spisałem pieczołowicie, a później ku utrapieniu rodziny powtarzałem prawie do rana, resztę nocy i tak nie przespałem.....

18.05.2012 przywiozłem p. Andrzeja do świetlicy na Kurdwanowie, /*cykliczne turnieje klubowe o pokaznym rozrzucie WK, na około 20 par*/ nie mówiąc nikomu z kim będę grał. P. Andrzej został natychmiast rozpoznany, a oklaski które później nastąpiły jeszcze bardziej ścisnęły mój i tak pusty żołądek. Przy stole p. Andrzej to już zupełnie inna osoba, skoncentrowany profesjonalista pilnie obserwujący każdy, nawet najdrobniejszy ruch czy gest przeciwnika. Nic mu nie umknęło na zielonym płótnie. Pewność poczynań w licytacji czy dokładanie poszczególnych kart, często onieśmiała co poniektórych zawodników, natomiast co warto w tym miejscu dodać, nigdy nie było próby ośmieszenia lub jakiegokolwiek pokazania niezaprzeczalnej przecież wyższości nawet nad najsłabszymi przeciwnikami. Co jeszcze ciekawsze, dobre zagranie przeciwnika zawsze było dostrzeżone i pochwalone lub skwitowane celną dygresją w stylu: *gratuluję wyczucia, jestem pełen podziwu dla pani, piękna rozgrywka jak w widne, lepiej by tego arcymistrz nie rozegrał...* itp. Zauważyłem, że p. Andrzej lubił obserwować reakcje przeciwników w newralgicznych momentach rozgrywki, kładł kartę na stole i nie patrząc na karty dziadka spozierał spod swoich krzaczastych brwi a korzyści z tego manewru były wręcz nieocenione. Zachowanie P. Andrzeja zawsze skutkowało dobrą atmosferą przy stole, brakiem jakiegokolwiek formy agresji oraz prawdziwą

sportową rywalizacją (każdy chciał się pokazać z jak najlepszej strony). Co do mnie, grałem dobrze czułem to, dwa razy zostałem upomniany za zbyt mało precyzyjne wyjaśnienie licytacji a adrenalina szalejąca w moim ciele powodowała, że widziałem każdą blotkę, każdą zrzutkę i każdy ruch twarzy p. Andrzeja. Niestety nie mogłem z niej wyczytać ani aprobaty ani dezaprobaty do moich poczynań przy stole, można było odnieść wrażenie że jesteśmy starą dobrze zgraną parą grającą bez nadmiaru emocji, co w moim przypadku było czystą fikcją.

Po turnieju czułem się jak górnik po szychcie, powietrze zeszło ze mnie całkiem, szliśmy w milczeniu do samochodu. Po zapaleniu silnika padły dla mnie chyba najważniejsze słowa w karierze brydżowej „*BYŁO DOBRZE, MOŻEMY POWTÓRZYĆ*”. Nazajutrz ukazały się wyniki: I. Weinhold - Y. Shputou 64,08% , my 64,06%. Przegraliśmy o dwie setne z dobrze rokującą młodą parą polsko-białoruską. Dla mnie i tak słowa p. Andrzeja sprawiły, że byłem zwycięzcą tego turnieju...

Graliśmy do końca roku, mniej więcej raz na miesiąc, a po każdym turnieju słyszałem: „*możemy powtórzyć*”... Później nasza dominacja już była wyraźna, zdarzył się turniej gdzie mieliśmy 12% przewagi nad drugą parą i nigdy nie zeszliśmy poniżej 60%. Ja przy p. Andrzeju okrzepłem, odkryłem nieznane wcześniej horyzonty i możliwości tej gry, a nauka którą odebrałem w tym czasie będzie zapewne skutkować do końca życia.

Czułem, że oprócz częstych rozmów o rozdaniach i analiz powstaje jakaś ulotna więź. Bardzo go polubiłem, był niekwestionowanym autorytetem zachowania przy stole, sympatycznego traktowania przeciwników jak i partnerów (tak naprawdę ani raz nie wybuchnął grając ze mną, to niezwykła wprost powściągliwość).

Ostatni nasz turniej a zarazem ostatni wygrany przez P. Andrzeja odbył się 14.12.2012 uzyskaliśmy wtedy 66,51% a Wojtek Strzemecki z Tytusem Bispingiem 61,04% zajmując drugie miejsce.

Jesteśmy wszyscy o rok starsi, podobno życie nie znosi próżni ale ja nie widzę aby pustka po p. Andrzeju została wypełniona. Ja ten czas pamiętam jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj. Składając sobie życzenia świąteczne planowaliśmy w 2013 r. zagrać w Rotundzie. Zły los niestety na to nie pozwolił. Odnosiłem wrażenie że mógłbym namówić p. Andrzeja na jakiś prestiżowy turniej widocznie miało być inaczej...

Obecnie dalej grywam na Kurdwanowie, zawsze z dobrymi partnerami ale łatwość uzyskiwania wyników 65-procentowych odeszła w głęboką niepamięć. Czas kiedy grywałem z p. Andrzejem zawsze będę wspominał z nostalgią i łezką w oku.

Jacek Brózda